

WEGA

KORDIAN ZADROŻNY



„WEGA”

Piszę to w nadziei, że ktoś kiedyś, jakimś cudem, natrafi na ten list. Mija w tej chwili trzeci rok podróży do Wegi w gwiazdozbiornie Lutni. Jest 25 Lipca 2267 roku. Do celu zostało nam jeszcze 2 lata podróży.

Ale tam nie dotrzemy.

Muszę zniszczyć ten statek i to, co się na nim narodziło.

Jestem prawdopodobnie jedynym z załogi pozostałym jeszcze przy życiu. Nie działa łączność, nie mogę wysłać żadnego sygnału. Jedynym środkiem komunikacji, jaki mam, to ta kartka papieru, którą właśnie czytasz, długopis, butelka po dwustuletnim winie i korek do niej. Za dwadzieścia minut reaktor osiągnie wartość krytyczną, roztopią się magnesy nadprzewodzące i uwolniona zostanie antymateria. Błysk eksplozji dotrze na Ziemię za 14 lat. Prawdopodobnie ten list odnaleziony zostanie na

długo później, o ile nie natrafi na burtę jakiegoś statku lecącego badać, co tu zaszło. Ja siedzę i kończę pisać ten list, ukryty w awaryjnej służbie powietrznej, ubrany w skafander. Spróbuję odlecieć jak najdalej, wyhamować, ale nawet jeśli przetrwam wybuch, to umrę z braku tlenu po dwóch godzinach, sam w przestrzeni, mając na około pierzynę utkaną z blasku obcych słońc.

Ale po kolei. Opiszę to wszystko szczegółowo. Dzięki temu, nawet jeśli ktoś odnajdzie ten list za tysiąc lat, będzie mógł odszukać w archiwum dane o naukowym statku ORP „Lis” i jego nieudanej misji.

Leciliśmy jako pierwszy statek załogowy, poruszający się pierwszym odkrytym skrótem międzygwiazdnym - tunelem czasoprzestrzennym łączącym dwie gwiazdy. To znaczy, łączącym je w przenośni, bo wejście tunelu znajdowało się około 90 jednostek astronomicznych od Słońca, a ujście było rok świetlny od Wegi. Jednak i tak odległość faktyczna pomiędzy oboma światami, dzięki tunelowi,

wynosiła 3 lata świetlne zamiast prawie 25. Załoga naszego okrętu liczyła 10 osób (wymienię do celów archiwalnych):

Ja, główny inżynier, byłem twórcą projektu statku,
Mój zastępca - Przemek Kisielewski, Kapitan -
Dariusz Szczeciński, Pilot - Dorota Lewczuk, Drugi
pilot - Jacek Tworowski, Oraz naukowcy: Alfred
Bohacz, Elżbieta Jabrzyk, Joanna Sawicka, Izabella
Ciołak, Czesław Kowalczyk.

Lecieliśmy ku nieznanemu, pierwsi ludzie uwięzieni w
dwustumetrowym wrzecionie ze stali.

W momencie przekraczania granic skrótu, po
czterech miesiącach lotu, czuliśmy się świetnie.
Wszystko działało jak należy, byliśmy zdrowi. Jednak
pierwsza noc, pierwszy sen wewnątrz mostu
Einsteina-Rosena, przyniósł koszmary. Wszyscy
budziliśmy się zlanym zimnym potem.

Przeszedłem później do psycholog pokładowej,
doktor Ciołak.

- Witam pani doktor, mogę? - Zapytałem, wchodząc do jej kajuty.

- Witam Pana, proszę usiąść. - Spoglądała na mnie przez chwilę, jakby dobrze wiedziała, czego we mnie szukać. - Czy przychodzi Pan w sprawie snów?

- Skąd Pani wie?

- No cóż, bo miały je chyba wszystkie osoby na pokładzie, jest Pan siódmym pacjentem dziś. Wszyscy mieli przerażające, realne koszmary. Ja również.

Przez chwilę patrzyliśmy sobie głęboko w oczy. Oficjalny ton naszych wypowiedzi był niezbędny - komputery rejestrowały wszystko i przesyłały na Ziemię. W rzeczywistości, nie dalej jak dwie noce temu, doktor wzbudzała we mnie emocje o sile równej dzisiejszym, sennym, choć spolaryzowane w drugą stronę. Cały czas pamiętałem smak jej ust i dotyk miękkich piersi.

- Proszę opowiedzieć sen - powiedziała, przerywając mi, a może i sobie, wspomnienie tamtej nocy.

- Śnił mi się mężczyzna, średniego wzrostu, dość chudy. Miał czarną szpiczastą brodę, czarne gęste brwi i był zupełnie łysy. We śnie jechałem metrem, czytałem jakąś książkę. W pewnym momencie podniosłem głowę i go spostrzegłem. Stał przy drzwiach, na drugim końcu wagonu i wpatrywał się we mnie. Mimo odległości dokładnie widziałem białka jego oczu i świdrujące spojrzenie. Nie mogłem oderwać od niego wzroku. Zaczął mnie ogarniać irracjonalny strach, czułem ból brzucha, płuc i głowy, tak potworny, jakby mózg miał eksplodować, ale wciąż nie mogłem oderwać od niego wzroku.

Izabella wpatrywała się we mnie osłupiała. - Mów dalej - powiedziała ochryple i napiła się wody, by zwilżyć usta. Wyglądała na przerażoną.

- Więc stałem tak, konałem prawie z bólu, a ludzie jakby nigdy nic: jedni stali, inni siedzieli. Jakieś

dziecko tylko płakało i pies szczekał. Nagle wszystko jakby ucichło. Nie było słychać szumu szyn, płaczącego dziecka i psa. Wszyscy w jednym momencie odwrócili się w moją stronę. Najpierw z oczu, a potem i z nosa i ust, popłynęła im krew. To było straszne. Nie tyle sama krew, co to, że patrzyli na mnie, jakby prosząc o pomoc, a ja nie mogłem się nawet ruszyć. Małe dziecko w wózku, może trzyletnie, krwawiąc coraz obficie, powiedziało do mnie: „Pomóż mi, proszę”. A ja nic nie mogłem zrobić. Stałem tak i patrzyłem. Krew zaczęła wypełniać całą podłogę wagonu. Ludzie zaczęli się drapać, zrywając ubrania i kwicząc z bólu, a ten łysy facet cały czas na mnie patrzył i lekko się uśmiechał. Chciałem się obudzić, ale nie mogłem, chciałem ruszyć, ale nie dawałem rady. – Gdy to opowiadałem, pot zalał mi twarz, a serce przyspieszyło tak, że ledwie mogłem złapać tchu. U Izabelli dostrzegłem te same objawy. Opowiadałem dalej. – Gdy zdarli z siebie ubrania...

– ...Zaczęli zdzierać z siebie skórę – kontynuowała, a ja patrzyłem i słuchałem przerażony. – Krzyczeli z

bólu, wyli jak zarzynane zwierzęta, zdzierali ją płat po płacie, najpierw z klatki piersiowej, odsłaniając mięśnie i żyły, później z twarzy, a na końcu wyszarpywali z siebie serca i umierali, trzymając je w dłoniach przed sobą. To ja byłam tym dzieckiem, które prosiło cię o pomoc, tylko że w moim śnie to nie byłeś ty, w ogóle nie pamiętam twarzy. Wiedziałam tylko, że to jedyny bezpieczny człowiek.

- Jasna cholera, co się dzieje? Coś w powietrzu? Jakiś wyciek? Muszę wszystko sprawdzić.

- Albo w jedzeniu, poproszę Alfreda, żeby pobrał próbki i je przebadał.

- Zatem działajmy.

Przebadaliśmy wszystko – jedzenie, wodę, wycieki z rur, paliwo, wszelkiego rodzaju promieniowanie – i nic, nic nie było. Jedna rzecz się zmieniła. Według komputera masa statku wraz z załogą wzrosła o 75 kilogramów. Dziś już wiem, dlaczego.

Przez następne miesiące nic się nie działo, poza kilkoma niesnaskami z Izabellą, nieoczekiwanym zbliżeniem z profesor Elą, egzobiologiem, i małą awarią sztucznej grawitacji. Po 2 latach lotu w tunelu jednak stało się. Szedłem właśnie dokonać pomiarów emisji promieniowania jonizującego z reaktora, gdy przechodząc obok rozgałęzienia korytarzy, kątem oka zobaczyłem postać. Przeszedłem kilka kroków, jednak stwierdziłem, iż niegrzecznie będzie się nie przywitać. Cofnąłem się w korytarz prowadzący do sterówki i zobaczyłem Jego. Mężczyznę z mojego snu. Świdrujący wnętrzości wzrok, uśmiech palący niczym piekielny ogień, cała postać niby normalna, a przerażająca. Nie jestem w stanie wytłumaczyć tego uczucia, ale sam jego widok powodował, że gotowały się trzewia.

- Na co się patrzysz?

Odwrociłem się, wyciągnięty z transu, i zobaczyłem Jacka, drugiego pilota. W czasie podróży zaprzyjaźniliśmy się, dużo czasu spędzaliśmy w sali

bilardowej, kiedyś nawet był mistrzem powiatu. Patrzyłem chwilę na niego zdezorientowany, po czym odwróciłem się tam, gdzie stał przed chwilą obcy osobnik. Nikogo nie było.

- A nic, szedłem do sterówki i się zamyśliłem na moment - skłamałem bez mrugnięcia okiem, ale głos miałem drżący, a włosy na ciele stały dębem.

- Też tam idę, zmienić Dorotę, chodźmy.

Nic jeszcze, poza oczywiście moim upiornym - miałem nadzieję - przewidzeniem, nie zapowiadało tragedii. Podeszliśmy do wjazdu na końcu korytarza. Sterówka tak naprawdę znajdowała się w innym statku, małym promie, połączonym z resztą statku 20-metrowym korytarzem. W razie poważnej awarii korytarz mógł być eksplodowany, a ponieważ w promie poza sterówką było pomieszczenie z kabinami kriogenicznymi dla 10 osób, całość służyła jako szalupa ratunkowa. Jednak, kiedy był podłączony z zespołami statku międzygwiezdnego, prom służył za

regularny mostek. No więc podeszliśmy do wjazdu. Jacek wystukał kod, drzwi się otworzyły i doszedł do nas straszny odór. Odór nieczyszczonego od lat klozetu, smród starego mięsa, zgnilizny i fermentacji. Po wejściu przez służbę znaleźliśmy się w łączniku. Z przodu mieliśmy drzwi do kabiny sterowania, a schody w dół prowadziły do sali kriogenicznej.

- Ależ śmierdzi, na boga, czy oni tam w sterówce tego nie czują? - Byłem pewien, że to jakaś awaria. - Ty idź do sterówki, zobacz, czy wszystko ok, a ja idę na dół. Musiała się popsuć jakaś chemia, i ten olej na ziemi... Chyba z hydrauliki.

- Lecę - odpowiedział i podbiegł do drzwi. Ja zbiegłem na dół. Pobieżne obejrzenie pomieszczenia nie wskazywało na żadne awarie. Chemikalia służące do hibernacji były w zamkniętych pojemnikach, komputer nie wspominał o żadnych rozszczelnieniach, nic.

Podniosłem do ucha komunikator.

- Jacek, co u ciebie?

Cisza.

- Jacek? - Krzyknąłem, prawie będąc już w biegu. Dwa susy, 6 m kabiny minięte, trzy, po schodach. Serce waliło, jakbym biegł maraton. Zakręt i sterówka.

Po wejściu pierwsze, co widziałem, to patrzącego z szeroko otwartymi oczami Jacka. Patrzę na dół, w bok. W pierwszym momencie nie uwierzyłem w to, co zobaczyłem. Obraz jak z jakiejś groteski: skóra. Na ziemi leżą płyty zakrwawionej skóry, po których pełzają robaki. Obrzydliwe, tłuste glisty. Na fotelu pilota leżało coś, co ewidentnie wcześniej było Dorotą, pierwszym pilotem, wesołą blondynką, niezłą laską. Do połowy była obdarta ze skóry, z dziury w jej brzuchu zwisały wnętrzności, sięgając do podłogi. Z rozdartego żołądka wylewała się powoli treść. A głowy? No, głowy nie było. Była oderwana nierówno, nie tak jak na filmach, gdzie głowę ucina miecz, topór czy laser. Głowa była zwyczajnie wyszarpana. Rana po

niej była nierówna, postrzępiona. Ponaciągane mięśnie i wiązadła zwisały naokoło, a ze środka wystawał kikut kręgosłupa, do wysokości 6. kręgu tak na oko. Nie wiem, ile czasu staliśmy tam z Jackiem i patrzyliśmy na ten widok, zanim usłyszeliśmy śmiech. To znaczy, ten śmiech i dźwięk mlaskania był tam chyba od początku, ale nie zwróciliśmy na niego uwagi – byliśmy w szoku.

Odwróciliśmy się obaj powoli. Ta chwila trwała wieczność. Pod głównym ekranem siedział zakrwawiony, nagi Kapitan. W rękach trzymał głowę Doroty i ją jadł. Gdy spojrzeliśmy, właśnie odrywał spory kawałek policzka. Jadł i śmiał się cicho, rechocząc jak dziecko na głupim filmie. Zerkął na nas, po czym oblizywał się i prostował ręce w pytającym geście – czy też chcemy spróbować. Na to nas nie przygotowano. Zresztą, jaki trening może przygotować na coś takiego?

- Co robimy? - Spytał Jacek.

- Próbowałem wezwać resztę, ale nie działa komunikacja.

- Odłączę sterowanie stąd, żeby nic nie zrobił. W takim wypadku chyba ja dowodzę?

- Tak - poparłem go. Był najwyższy stopniem z pozostałych przy życiu lub zdrowych na umyśle.

Zablokował konsole sterujące, zaryglowaliśmy kodem drzwi i poszliśmy w cholerę. Jednak... gdy byliśmy w połowie korytarza łączącego Heweliusza, czyli prom z resztą statku, rozległ się alarm. Biegiem dopadliśmy zamykającą się powoli główną szluzę, weszliśmy w kadłub głównego statku, gdy korytarz został eksplodowany. Przez iluminator zobaczyliśmy blask eksplozji. Prom zaczął oddalać się w stronę prawej burty. Wypływający z lewego skrzydła gaz powodował, że statek począł obracać się dookoła własnej osi i jeszcze bardziej skręcał w prawo. Zatoczył półkole i zaczął zbliżać się do wyłączonych teraz głównych silników statku. Patrzyliśmy w

przerażeniu, nie zwracając uwagi na rozlegający się alarm zbliżeniowy. Komputer rozpaczał: unik! Jednak lecąc z 0.3c w ciasnym tunelu czasoprzestrzennym, ciężko się manewruje. Działania były podjęte za późno. Prom uderzył w boczną ścianę prawego silnika. W pierwszej chwili wydawało się, że nic złego się nie stanie. Prom odbił się od wysuniętej gondoli i wpadł na rozświetlony plazmą kraniec tunelu. Reszta potoczyła się w tempie niepozwalającym ludzkiemu mózgowi ogarnąć otaczających go zdarzeń.

Prom eksplodował, rozerwany różnicami w naprężeniach kadłuba. Jego fragmenty uderzyły w gondolę silnika, odrywając ją. Statek zaczął powoli przechylać się w lewą stronę. Zanim pracę rozpoczęły stabilizatory bezbezwładnościowe, obaj – a właściwie cała załoga i wszelkie nieprzytwierdzone elementy wyposażenia – wylądowali na ścianie, przyciśnięci do niej. Komputer rozpoczął już procedurę wyrównania. Silniki manewrowe ustawiły okręt w poprzedniej pozycji. Mielśmy chyba szczęście... To znaczy, w sumie dziś nie musiałbym pisać tego listu, nie

musiałbym sam niszczyć statku. Niemniej wtedy przeżyliśmy.

Pobiegliśmy do głównej maszynowni, gdzie był zapasowy mostek. Jacek mógł stamtąd bez trudu kontynuować lot. Problem z podróżą w tunelu jest taki, że nie da się zawrócić. Trzeba dolecieć do końca i dopiero po raz drugi do niego wlecieć. Lot więc musiał trwać dalej. Oczywiście wszyscy byli przerażeni i zszokowani tym, co się stało. Mnie i Jacka uratował nadmiar pracy. Musieliśmy poskładać statek do kupy. On przełączał pilotowanie w tryb awaryjny, podłączał zapasowy komputer, a ja sprawdzałem punkt po punkcie silniki, systemy, podsystemy. Musiałem nawet wyjść w przestrzeń w skafandrze i zacerować poszycie kadłuba.

Mijały miesiące i nic się nie działo. Wszystko zaczęło wracać do normy, o ile zaistniałą sytuację w ogóle można uznać za normalną.

Ja czułem się coraz dziwniej. Byłem ciągle głodny i ociężały. Któregoś dnia zrobiliśmy zebranie, celem omówienia naszej sytuacji.

- Jacek, czy masa statku jest teraz odpowiednia? -
Zapytałem aktualnego Kapitana.

- Tak, wydaje się, że te nadmiarowe 75 kilo zniknęło wraz z promem.

- Czy nie wydaje wam się, że jak już wyjdziemy z tunelu, to głupotą będzie do niego wracać? - Zapytał Czesiek, „jajogłowy” inaczej. W sumie świr, tak go mogę określić.

- Też tak uważam, przeprowadzimy, o ile będzie to możliwe, zaplanowane badania i dopiero wrócimy -
Jacek to prawdziwy twardziel, ja bym od razu zawrócił.

Wtedy rozległ się alarm.

- Uwaga - powiedział metaliczny głos komputera -
masa znów wzrosła o 75,3 kilo.

Poczułem się dziwnie. Zaczął mi się obraz przed oczami rozmazywać i byłem dziwnie, irracjonalnie głodny. Wzrok się powoli wyostrzał, ale obraz był przejawskrawiony i zabarwiony na czerwono.

Zobaczyłem, że wszyscy na mnie patrzą, zdziwieni i przestraszeni.

- Jezu - usłyszałem głos Joanny - co się z tobą dzieje???

- Nie wiem - odpowiedziałem - dziwnie się czuję.

Spojrzałem na swoje ręce. Żyłki wyszły na wierzch, a skóra posiniała. Chwyciłem się blatu, żeby się przytrzymać, bo zakręciło mi się w głowie, i jednym ruchem ręki go złamałem. Upadłem na ziemię.

Spojrzałem do góry. Zobaczyłem, jak inni zmieniają się w potwory, kuriozalne monstra z dziecięcych koszmarów. Powoli zbliżali się do mnie. Wpadłem w szal, czułem tylko w sobie agresję, wściekłość i głód, potworny głód.

Spojrzałem na monstrum, które było przed chwilą Joanną, i krzyknąłem: - Posmakuję cię, dziwko!

Ktoś próbował uderzyć mnie czymś w głowę.
Poczułem lekkie uderzenie. Machnąłem od niechcienia ręką, nie odwracając oczu od Joanny, i złamałem temu komuś kark. Rzuciłem się na nią.
Wbiłem ręce w klatkę piersiową i rozdarłem jej skórę.
Kwilenie trwało, gdy wyrywałem żebra, by dostać się do płuc. Pysznych płuc. Czułem tylko głód i chęć mordy, brutalnego, powolnego, powodującego ból.
Następny w kolejności był Jan. Dopadłem go, jak próbował uciec z pomieszczenia. Złapałem go za nogę, pociągnąłem mocno i kikut urwany na wysokości kolana został mi w rękach. Krew bryzgała na około, a ja go biłem tym kikutem, uderzałem w różnych płaszczyznach, masakrowałem. Rozejrzałem się po pomieszczeniu, ale już nikogo nie było - uciekli.
Pewnie po broń, do schowka. Ruszyłem w pościg niczym hiena atakująca bawoła. Biegłem, byłem szybszy. Dopadłem drzwi od zbrojowni w momencie, gdy doktor Alfred Bohacz mierzył się do strzału.

Wyprułem serię, ale był za wolny. Skoczyłem na ścianę. Kule wylatując z lufy nie znalazły oczekiwanego celu, uderzały w ścianę i rykoszetując pręły wszystko naokoło. Kątem oka dostrzegłem, że kilka trafiło schowaną za drzwiami Izabellę. Prosto w twarz, która w jednym momencie zamieniła się w krwawiącą masę. Zanim przeniósł ogień na mnie, ja już byłem po drugiej stronie pomieszczenia, bliżej niego. Dopadłem i wgryzłem się w jego szyję, łamiąc kręgi szyjne. Gryzłem dalej, nie mogłem się opanować. Gryzłem, aż głowa poturlała się po ziemi.

Ruszyłem biegiem przez statek, przez jego cztery pokłady, szukając dwóch ostatnich ofiar. Dopadłem do sterówki, a za mną zamknęły się grodzie.

- Musicie być idiotami, że mnie tu zamykacie - wrzasnąłem - komputer, zlokalizuj pozostałych.

- Głos nierozpoznany - rzekła maszyna - obraz zgadza się w 70% z głównym inżynierem.

- Co? Podszedłem do konsoli. Nie pamiętałem, jak to obsłużyć, ale palce same zatańczyły po klawiszach. Na ekranie pokazał się obraz masakry. Jakiś potwór masakrował załogę. To byłem **JA**.

Zacząłem ze sobą walczyć. Usłyszałem w myślach: - Nie dasz rady, zabijesz innych, a na końcu siebie - i śmiech, ten potworny śmiech chudego gościa z brodą. O nie, przyjacielu, jeszcze mnie nie znasz. Z głębi podświadomości wywołałem dawno wpojone odruchy. **Dyscyplina**, którą ćwiczyłem latami, **precyzja**, która kazała mi kontrolować każdy mięsień - to była moja ostatnia linia obrony. Mój umysł zaczął walczyć, z głębin powoli wynurzał się na powierzchnię. Poczułem ogromny ból. Poczułem strugę krwi spływającą z czoła, rozciętego wcześniej. Poczułem siebie. Osłabłem i osunąłem się na ziemię. Moje ciało jeszcze chciało mordować, wyrывało się, lecz trzymałem je w ryzach. Powoli moje myśli przejmowały kontrolę: nad nogami, nad rękoma. Wrócił wzrok, ostry jak zawsze, pełen barw, i ból, ale nie fizyczny. Miałem przed oczami, jak morduję

przyjaciół, jak giną dwie kobiety, na których mi zależało.

- Ponowny wzrost masy, kajuta 13, pokład 2 - powiedział komputer.

W tym momencie byłem już sobą, wiedziałem, co należy zrobić. Coś weszło na pokład, gdy przekraczaliśmy granice tunelu. Musiałem zniszczyć ten statek. Definitywnie i zamknąć ten tunel. Eksplozja antymaterii powinna dokonać kolapsu. Zniszczyłem systemy chłodzenia reaktora, elektromagnesów utrzymujących antyprotony w pułapce. I siedzę właśnie ukryty w śluzie, słysząc walenie do grodzi. Stal powoli się wybrzusza. Kończę. Żegnajcie.

Koniec